



FOT. ARCHIWUM

Spektakl „Amy. Klub 27” to mocny głos o nałogach gwiazd

ZA KULISAMI

Łukasz Gazur

Klub bólu istnienia

Zwykle wewnątrz, rodzina za stołem jakby zastygła, odrętwiała codziennością. I córka, która próbuje wydostać się z życiowego otępienia. To tytułowa bohaterka spektaklu „Amy. Klub 27”, prezentowanego w Teatrze Ludowym w Krakowie. To mocny, zadziorny, konfrontacyjny głos. A w obsadzie Patrycja Durska, Beata Schimscheiner, Iwona Sitkowska, Wiktoria Węgrzyn, Piotr Piecha, Dominik Rybiałek, Ryszard Starosta, Jacek Strama, Aneta Wirzinkiewicz, Tomasz Schimscheiner.

Sztuka jest opowieścią o mitycznym Klubie 27, czyli grupie artystów, którzy w różnych czasach i w różnych sytuacjach zakończyli swoje życie w wieku 27 lat. Idąc tropem tekstu Marii Spiss, poznajemy strzępy biografii wielkich gwiazd muzyki, które kończyły tragicznie. Tytułowa Amy, zmierzająca z owieczką-przewodniczką w stronę światła, to oczywiście zmarła niedawno Amy Winehouse, ale w czyścicu (a może raczej wielkim śmietniku zapomnianych już dawno odpadków popkultury?!) spotka Jimiego Hendrixa, Janis Joplin, Kurta Cobaina, Jima Morrisona. Ich rozmowa przebiega w konwencji spotkania klubu Anonimowych Alkoholików: najpierw imię, potem opis spotkania z nałogami. I historie picia alkoholu i brania narkotyków („po heronie przynajmniej nie bolał mnie brzuch”) i przekraczania kolejnych granic jako przełamywania społecznych konwencji. W słowa tej spowiedzi wpisują się wielkie przeboje – czasem dość przewrotnie. Gdy zgromadzeni na scenie chcą, by Kurt śpiewał o miłości, ten wybiera piosenkę o gwałcie. Bo miłość kojarzy mu się z przemocą. Amy, rozliczając się ze swoim ojcem, oszukuje go na temat terapii,

i śpiewa „My daddy thinks I'm fine” („Mój tata myśli, że mam się dobrze”).

Wszyscy bohaterowie mają wykrzywione widzenie świata, relacji międzyludzkich, własnej osoby. Źródłem tego stanu dopatrujemy się w ich dzieciństwie, dusznych, mieszczkańskich domach rodzinnych. Ale im dłużej ich słuchamy, tym bardziej zdajemy sobie sprawę, jak ich osobność im doskwierała, jak spychała ich w samotność. Widzimy, jaką cenę zapłacili za swoje niedopasowanie. Ale to tylko jeden z wątków tego spektaklu.

Oczywiście reżyser Piotr Sieklucki, dyrektor Teatru Nowego w Krakowie, nie byłby sobą, gdyby w tle nie umieścił kontrowersyjnych tematów społecznych. Tak więc w scenie talk-show prezenter, irytujący typek z telewizji, który dla oglądalności robi wiele, a z celebrytów urządzi tv-cyrk dla swoich widzów, głosi hasła w stylu „my ze swoimi umarłymi idziemy do Europy”. Zresztą Amy, pochodzącej z żydowskiej rodziny, proponuje zabawę w popularnej ostatnimi czasy w wielu miastach konwencji escape-room (pokój pełen pułapek i zagadek, z którego w określonym czasie trzeba się wydostać) – tyle że tym razem „pokój zagrożeń” ma postać stodoły z Jedwabnego. Tej, w której w czasie wojny spłonęli żydowscy mieszkańcy okolicy. I nagle czujemy zapach kadzidła. Symboliczny to moment. Podobnie jak ten, w którym na scenę nagle wchodzi Chrystus...

Ma ten spektakl swoje mankamenty: wolno się rozkręca, dłużej się niemiłosiernie monolog gwiazd, które powtarzają jak mantrę słowa o „braniu i chlaniu”. Niemniej jednak staje się to przedstawienie bardzo mocnym, dźwięcznym wciąż w głowie głosem o cenie, jaką płaci się za samotność w świecie sławy, o tym, jak uwierające bywają społeczne schematy, rasa, religia, rodzinne relacje. A wszystko w ciekawej scenografii Łukasza Błażejewskiego, oddającej wizualnie napięcie spektaklu.

©P